

Blady poranek powoli rozświecił czarne, bezgwiazdne niebo. Kogut zapiał gdzieś cicho, jakby obawiając się przerwać podróż świtu, aby ten przypadkiem nie zawrócił. Po chwili odzyskawszy odwagę ptak zapiał donośnie, z dumą oznajmiając światu nowy dzień. Słońce wspinało się nad horyzont, rzucając cień na kościół opactwa.

Przez małe, zakryte błonami okno przebijało się poranne światło. Oko walczyło jeszcze przez chwilę ze snem, aż w końcu poddało się. Zmaganie się ze słońcem zawsze zdawało się być głupotą. Z łóżka wystrelała ręka, zasłaniając twarz. Chłopiec ziewnął szeroko, zwłókl się z posłania i powoli ruszył do drzwi.

Nie chciał budzić kowala, przekradł się zatem na palcach ku wyjściu. Jego opiekun mógłby być bardzo niezadowolony, szczególnie że położył się późno spać, starając się wykonać na czas zamówienie dla miasta. Wykucie tysiąca sztuk broni w tak krótkim terminie zdecydowanie było wymagającym zadaniem.

Chłopiec spojrzał na swoje dłonie i zobaczył bąble między palcami. Uprzedniej nocy, za radą kowala, moczył je długo w jakimś dziwnym płynie, który pachniał dość nieprzyjemnie. Ból na szczęście ustąpił, ale pęcherze nie zeszły. Nie obchodziło go to jednak, spieszył się na targ odebrać towar. Wciąż ziewając, zaprzął osła do niewielkiego wozu i ruszył wzdłuż ulicy na plac targowy.

Służył u Egberta od kilka miesięcy i zdążył już zadomowić się w Magdeburgu, ale miasto wciąż miało przed nim swoje tajemnice. Przede wszystkim zadziwiała go wielkość wszystkiego dookoła. Nawet chaty zdawały się być dwakroć większe i bogatsze od tych, które znał z innych stron. W Magdeburgu prym przede wszystkim wiodła katedra, ona nie miała sobie równych. Ten olbrzym z kamienia zdawał się sięgać chmur. Chłopiec potrafił gapić się na jego sylwetkę wiele godzin. Wielkie wrota, za którymi mieszkali zakonnicy z opactwa, prowadziły jakby do innego świata, pełnego tajemniczej muzyki, świateł i nieznanymi sił. Nie dane mu było zakosztować tych wspaniałości – mnisi szybko wypędzali ze środka wszelkich gapiów.

Mieszkał tu również biskup. Chłopiec szybko zrozumiał, że to nowe dla niego słowo oznacza tutejszego arcykapłana. Rzadko go widywał, ale kiedy już się ukazał, przybrany był w dostojne i bogate szaty, którymi lud mógł cieszyć oczy.

To nawet nie była połowa ogromu tego miejsca. Z boku katedry kryło się tajemnicze przejście, do którego mnisi nikomu nie pozwalali wchodzić. Chłopiec nigdy nie był w środku i nie dowiedział się, co też kryje owa tajemnicza furka, posłyszał jednak opowieści ludzi, którzy tam byli. Mówiono, że tam kryją się jeszcze bardziej kuszące bogactwa – biskup ma tam swój skarbiec, a gdzieś w pobliżu podobno jest przejście do piwnic, gdzie znajdują się groby wielkich, dawnych królów. Wszystko to było bardzo interesujące dla ciekawego świata chłopca, nie mógł jednak zaspokoić swojej ciekawości, choć próbował wkraść się do środka na różne sposoby. Zakonnicy, wszyscy bez wyjątku o ponurych twarzach, znali go już i starali się jak najszybciej wyrzucić z katedry, by nie narobił szkód. Inne dzieci także pragnęły ujrzeć na własne oczy słynne groby czy skarby, ale ograniczały się do bezsilnych prób bezpośredniego wejścia

do środka.

Młody Strzałek nie potrafił się z nimi dogadać. Nic dziwnego, oni byli Sasami, a on był Lucicem, o czym dzieci nieustannie i złośliwie mu przypominały. Sam jeden w obcym kraju, nie znając języka, był niczym. Wciąż pamiętał dzień, kiedy zjawił się w mieście. To było wkrótce po zamordowaniu obodryckiego biskupa. Obodryci od blisku dwudziestu lat byli pod panowaniem Gotszalka, zdrajcy i tchórza, który wydał ich wszystkich w ręce Sasów. Wiele narzucono staremu, dumnemu ludowi, któremu to wszystko było nie w smak i zębami zgrzytał na wszystko, co saskie. Wszyscy mieli już dosyć krępujących więzów nowej religii, nie widziało im się zmieniać świątyni w Radogoszczy na chrześcijański kościół. Musiał w końcu nadejść ten czas, kiedy przebrała się miara. Obodryci wpadli w szal, zamordowali biskupa Jana i innych chrześcijańskich kapłanów, krew poczęła się lać strumieniami, a kościoły strawił ogień. Niemiecka krew polalała się od wrzącej gniewem obodryckiej ziemi aż do Hamburga. Nawet Lucicka starszyzna wahała się, co robić. Zarówno Lucice jak i Obodryci od wieków żyli na wojennej stopie, lecz jednocześnie mieli wspólnego wroga – cesarstwo. W obliczu nowej sytuacji lucicki wiec plemienny składał Światowidowi dary w świątyni, wielki kapłan czynił wróżby na świętym koniu, ale bogowie zdawali się wybór pozostawić ludziom. Lucice byli znacznie osłabieni - niedawno zakończyli wojnę domową, w której związkowe plemiona stanęły po wybranej przez siebie stronie, jednej z dwóch, i zabijały się nawzajem, aż do wyczerpania sił. Ci którzy przeżyli, siedzieli teraz markotni i wykrwawieni przed świątynią, nie wiedząc co robić. Cesarz za to wiedział i wysłał margrabiego Marchii Północnej, Lotara Udo, by się z nimi rozprawił.

Strzałek miał szczęście, że pochwycono go zaraz na początku, niemal bezkrwawo. Jeńcy zdobyci później bronili się wiele dłużej i bardziej zażarcie, co rozsierdziło chrześcijańskich wodzów, którzy niemiłosiernie mordowali napotkanych pogan w odwecie za popalone kościoły. Strzałek został zapędzony do Magdeburga, który był położony najbliżej, nad samą Łabą. Tam właśnie przestraszony chłopak ujrzał po raz pierwszy wielkie miasto, jakże inne od prostych, drewnianych wieleckich chat. Pragnąc wrócić do domu, kipiał nienawiścią do wszystkich dookoła i dopiero ten widok go zatrwożył. „Ten Bóg chyba rzeczywiście jest potężny, skoro mu takie świątynie stawiają, pomyślał. Nasze są niewielkie, nie tak ładne jak ta. Kiedy stąd ucieknę, opowiem im wszystkim, jak te chrześcijany tu mają. Musielibyśmy zaiste potężne wojsko zebrać, by to zniszczyć.”

Tam właśnie, na rynku magdeburskim, wśród wrzawy i kurzu wzniecanego przez dziesiątki jeńców czekających na śmierć, dojrzał go kowal. Mały chłopiec, próbujący usilnie wyrwać się ze szponów strażników, od razu zwrócił jego uwagę. Egbert już od dawna potrzebował nowego pomocnika, poprzedni położyli już nauki i pozakładali własne kuźnie, a on sam starzał się powoli. Jenó jeden czeladnik mu został, Iwo, który umyślał też wkrótce założyć własną kuźnię. Kowal obejrzał chłopca uważnie i ocenił siłę jego ramion. Zaproponował jego wykup za sakiewkę złota, na co wyrażono zgodę i po chwili Strzałek był wolny. Nie wiedział jeszcze, że czeka go ciężka praca przy kowalskim miechu, radował się jedynie zdjęciem więzów.

Egbert poprowadził go do swojej kuźni i pokazał mu ją. Chłopiec w mig zrozumiał o co chodzi. Nieraz przyglądał się pracy plemiennego kowala, choć tamten miał mniejsze kowadło i nie miał tak bogatego wyposażenia. Egbert był uznanym rzemieślnikiem, do którego przychodzili głównie ludzie z rady bądź od biskupa, a także i on sam. Jego kuźnia cieszyła się reputacją najlepszej w Magdeburgu, a jej wytwory wy-

ceniano wysoko. Stać było na nie tylko nielicznych.

Na początku Strzałek dostał młot do ręki, kawałek żelaza i kowal nakazał mu uderzać. Posypały się iskry, kiedy metal uderzył o metal. Chłopiec o mały włos nie wypuścił z rąk narzędzia, ale wiedział, że nie może sobie na to pozwolić. Zaciśnął więc zęby i walił dalej.

– Bardzo dobrze! – powiedział Egbert.

Młot z brzękiem uderzył o ziemię, a Strzałek wytrzeszczył na niego oczy.

– Wy znacie mój język? – wysapał.

– Swojego czasu miałem czeladnika, chłopca takiego jak i ty. No, może trochę starszego, nie pomnę. Umiał on po waszemu gadać, to kazałem mu mnie nauczyć i teraz umiem. – wyznał kowal.

Z ust chłopca wysypała się lawina pytań, ale Egbert uniósł dłoń.

– Dość. – powiedział szorstko. – Na wszystko przyjdzie czas. Wiedz, że wziąłem cię z ich rąk przede wszystkim do pomocy, nie do zadawania pytań. Na początku dostaniesz coś lżejszego, bo widzę że ten młot dla ciebie za ciężki. Miałem gdzieś tu jakiś mniejszy młot. – rozejrzał się szybko – o właśnie. Chodź tu, pokażę ci jakie będą twoje obowiązki.

Tak zaczęła się dłużąca się niewola. Po pewnym czasie Strzałek sam zaczął rozumieć podstawowe słowa po sasku. Egbert musiał nauczyć go języka na tyle, żeby puścić go samodzielnie do miasta, by pozablatował sprawunki. Dało to szybko rezultaty – zwyczajnym stał się widok chłopaka codziennie prowadzącego do miasta osła zaprzężonego do wózka.. Strzałek punktualnie zjawiał się na miejscu, a turkot kół o kamienie brukowe i słowiańskie przekleństwa uprzedzały kupców że nadjeżdża do nich ten nowy czeladnik kowala, który niesprawnie odliczał monety i po chwili wóz znów obijał się na drodze, stopniowo oddalając się od placu targowego.

Tego dnia również śpieszył się na targ. Był senny poranek, jakich wiele. Strzałek podczas drogi zgadywał jedynie, zza której ulicy zjawia się jego prześladowcy. Nie znosił tego. Ta banda działała na nerwy bardziej niż gburowate uwagi kowala, gdy coś mu nie wychodziło. Czterech tutejszych dryblasów, niewiele starszych od niego, znalazło sobie w nim kozła ofiarnego. Nawet nie znał ich imion, poza jednym z nich. Był to ten, który wiódł prym wśród bandy – najwyższy z nich, zwany Brunon. Domyślał się także, że dwóch chłopaków z tej bandy jest braćmi – mieli identyczne nosy i pieprzyki na policzkach. Miał najbardziej odrażającą twarz z nich wszystkich, do tego miał na policzkach brzydkie blizny i wyglądał jakby kopnął go osioł.. Strzałek usiłował mu to wielokrotnie powiedzieć, ale tamci śmiali się tylko z jego słowiańskiego języka, a później łamanego niemieckiego.

Pojawili się, wyszli zza rogu ulicy. Westchnął, zniecierpliwiony w duchu. Za każdym razem miał nadzieję, że tym razem uda mu się prześliznąć przed ich wzrokiem. Co dziwne, tym razem było ich trzech, jednego brakowało. Kiedy go tylko zobaczyli, zaczęli coś do niego wrzeszczeć bardzo szybko, śmiejąc się jednocześnie. Strzałek zaciskał tylko pięści w bezsilności, nie mogąc im nic zrobić. Próbował na początku, usilnie, ale ich było czterech a on jeden, a do tego on miał wózek z towarem. Wolał nie liczyć, ile razy trzech z nich zajmowało się biciem go, a jeden przecinał sznur, puszczał osła wolno, a wózek kradli bądź wysypywali towar na ziemię, niszcząc go bezpowrotnie, szczególnie jeżeli to było pożywienie. Chłopak wolał sobie nie przypominać, jak wracał do domu cały w strachu przed kowalem, a on tak łatwo mu nie przebaczał straty towaru. Gdy miał wyjątkowo zły humor, kazał chłopakowi całą noc spać spędzić na dworze, bądź w zadymionej kuźni, gdzie przekładał sztaby żelaza. Na szczęście w późniejszych tygodniach banda nie dawała mu tak łatwo rady, Strzałek wyrobił sobie nawyk szybkiej ucieczki przed nimi bądź unikania ich jak się dało. Tym razem jednak nie mógł nic takiego zrobić. Zaciśnął tylko ostrzegawczo dłonie i starał się pogonić osła, by jak najszybciej szedł do przodu. Obejrzał się szybko, na wypadek gdyby chcieli go zająć od tyłu. W przeszłości kilkakrotnie podchodzili go od tamtej strony podpalając pochodniami jego wózek z czystej złośliwości. Na szczęście chłopcu udawało się zawsze ugasić pożar, ale okupował to oparzeniem dłoni i ramienia.

Dzisiaj oprawcy nie wydawali się zbyt zainteresowani jego osobą, co Strzałek uznał za sukces. Owszem, wydawali jakieś okrzyki, ale podejrzenie często oglądali się do tyłu i milkli. To mógł być zły znak, może nasłali na niego jeszcze kogoś? Mogli nawet przysłać strażnika i oskarżyć go o kradzież wózka bądź osła. Mogli zrobić co chcieli, Strzałek wciąż za słabo znał język, by się wybronić. Z największym pośpiechem przemknął obok nich, starając się na nich nie patrzeć. Wielokrotnie obiecywał sobie że w przyszłości przyjdzie tu wraz z współplemieńcami na wyprawę, a wtedy ich znajdzie i z czystą radością im przypomni doznane krzywdy, a potem ich zabije. Na razie pozostawało to w sferze marzeń, a jedynym problemem, z jakim mógł się borykać, był strach o towar.

Plac targowy był bardzo rozległy. Jak okiem sięgnąć, rozpościerały się dookoła kramy z towarami. Każdy właściciel kramu stał obok i zachwalał go, krzycząc donośnie. Panował gwar i smród niesamowity – gdzieś tam pałętały się psy, usiłując znaleźć jedzenie na ziemi, a wzdłuż kramów chodzili ulicznicy i żebracy, usiłując coś zdobyć dla siebie i uspokoić żołądek. Woń egzotycznych przypraw unosiła się wysoko i potęgowała jedynie chaos. Miód, pieprz, imbir czy sól, niejednokrotnie rozsypane na ziemi przez przechodzących, karmiły nos nieznanymi zapachami. Strzałek już od dawna znał tę dziwną mieszaninę drażniącą nozdrza, żał jedynie go ogarniał, że nadal nie znał tych zapachów i prawdopodobnie nigdy ich nie pozna. Zbliżył się szybko do właściwego kramu.

– Witajcie panie. Mój pan, kowal Egbert, przysłał mnie do was po skrzynię skór – wymamrotał szybko formułkę. Kupcy z racji podróży po świecie, znali trochę języków i jedynie z nimi mógł rozmawiać swobodnie.

Kupiec miał wielki brzuch i długie wąsy. Wskazał mu palcem leżącą obok skrzynię. Chłopiec szybko podniósł pokrywę i upewnił się, że towar jest na miejscu i nikt nie próbuje go oszukać.

– Po zapłatę, panie, udajcie się do kowala Egberta, jak zwykle. – dodał śmiało Strzałek. Mówił to zdanie

już od tak dawna, że przestał się nim przejmować. Nie zastanawiał się nawet nad jego sensem, po prostu recytował je z pamięci.

Grubas skinął głową, po czym odwrócił się w kierunku następnego klienta. Poranek powoli przeradzał się w dzień i na placu zjawiało się coraz więcej ludzi. Strzałek nie lubił tłumów, dlatego zjawiał się na miejscu wcześniej i szybko stamtąd odjeżdżał.

Słońce stało już wysoko na niebie a chłopiec dziękował w duchu bogom za to, że mógł swobodnie dojechać na miejsce i nie stracił wózka.

Kiedy uradowany mijał kolejne ulice, nie mogąc doczekać się ciepłego posiłku w domu kowala, usłyszał nagle przeciągły pisk a potem śmiech w bocznej uliczce. To go zaniepokoiło i zatrzymał się, niepewny co czynić wypada. Zadawało się mu, że ów śmiech wydawał jeden z czwórki prześladowców, ale nie był pewny.

Znowu pisk i wrzask bólu a potem krzyk radości. Strzałek teraz już był pewny – tak, to śmiech jednego z tamtej bandy. Pozostałe odgłosy były zdecydowanie obce. Czyżby znęcali się nad kimś jeszcze? Chłopiec pokręcił się jeszcze chwilę w miejscu, aż w końcu podjął decyzję i skręcił w bok.

Tuż za rogiem była ślepa uliczka, kończąca się ogrodzeniem. Mimo to, w miejscu styku ogrodzenia i budynków po jej lewej i prawej stronie widniały dodatkowe przejścia, ciągnące się kawałek. Właśnie stamtąd dobiegały głosy. Strzałek zostawił na chwilę osła z wózkiem i ruszył do końca ślepej uliczki. Skradając się, usłyszał jeszcze jeden głos. Szybko rozpoznał go jako należący do jeszcze jednego członka ulicznej bandy. Zastanowił się – *po co mam tam w ogóle iść? Mi nikt nigdy nie pomógł, sam musiałem sobie z nimi radzić, czemu mam pomóc?* Nie potrafił na to odpowiedzieć, coś go ciągnęło dalej.

Źródłem tych niecodziennych odgłosów okazała się jakaś dziewczyna, a przynajmniej na dziewczynę wyglądała. Skuliła się w wąskim przejściu między ogrodzeniem i budynkiem i płakała cicho. Miała bardzo brudną twarz i włosy, wyglądała jakby tarzała się długi czas po ziemi. Jej ubranie również nie wyglądało przyzwoicie – jakieś zniszczone łachmany, nie do rozpoznania. Nad nią pochylało się dwóch chłopaków z bandy Brunona, mówiąc coś między sobą i chichocząc. Dziewczyna wyglądała jak kupka nieszczęścia i nic nie zapowiadało poprawy sytuacji. Jeden z chłopaków zbliżył do niej rękę, ale ona odepchnęła go gwałtownie, prawie go przewracając. Drugi w odpowiedzi wyciągnął nóż.

Litość. To było to uczucie. Strzałek nie mógł pozwolić, by banda po prostu zabiła dziewczynę w jakiejś uliczce. To nie miało sensu, nie było żadnej wojny. Po co oni to robili? Co innego kradzież wózka, niszczenie go czy wyśmiewanie, a co innego takie zabójstwo!

Spodziewał się, że jeśli tego nie zrobi, będzie już za późno, by ją ratować, i krzyknął tak mocno, jak tylko zdołał:

– Zostawcie ją!

Ci obejrżeli się i poznawszy go, prychnęli i odwrócili się do swojej ofiary. Mocno się zdziwili, bo dziewczyna powoli zaczęła wstawać. Chwiała się mocno i trzymała ściany, ale już nie siedziała na ziemi. co było znacznym postępem.

Chłopiec rzucił się na tego z nożem, próbując trafić go pięściami lub wyszarpnąć mu ostrze. Tamten był jednak starszy od niego i wyglądało na to, że dobrze się bawił. Strzałek zdołał go jedynie trafić w żołądek, co nieco osłabiło opór. Wróg siadł na ziemi, próbując zaczerpnąć oddech i nie zwracając przez chwilę na nic uwagi. Strzałek wykorzystał jego chwilę słabości i wyszarpnął z jego dłoni nóż a potem podniósł dziewczynę. Drugi z nich zastąpił mu drogę, a Strzałek zatrzymał się na chwilę. Nie do końca zdając sobie sprawę z tego co robi, wyciągnął rękę i uderzył go w nos. Tamten zatoczył się i upadł, mamrocząc przekleństwa i trzymając się za twarz, po której zaczęła spływać krew. Wymachując przed bandą nożem, zdołał wyprowadzić dziewczynę z powrotem do ślepej uliczki.

Dopiero teraz spojrzał na nią uważniej. Po siniakach wyglądało na to, że już od jakiegoś czasu była ich zabawką do bicia. Współczuł jej, ale nie wiedział co powiedzieć. Przecież ona jest Niemką, więc co robić? Przysiągł sobie, że musi jak najszybciej pojąć ten dziwaczny język, znajomość podstaw nie wystarczy. Dziewczyna nie wyglądała, jakby orientowała się co się dzieje. Była w pewien sposób ośpiona. Strzałek postanowił zaprowadzić ją nad rzekę, aby pomóc jej zmyć ziemię z twarzy, może przy okazji czegoś się od niej dowie.

Chwycił ją za rękę i poprowadził. Po raptem kilku krokach wymamrotała coś pod nosem niewyraźnie, wyrwała się i uciekła.

Strzałek został sam. Dziewczyna może i wyglądała na słabą, ale przed chwilą widział, że była w stanie pobiec niespodziewanie szybko, niczym zając. Zniknęła mu z oczu, nim zdążył mrugnąć. Doszedł do rogu ulicy, ale jej już nie było widać. Zrezygnowany, wrócił do wózka i pognął osła z powrotem do kuźni.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Mateusz0090, dodano 17.08.2020 08:12

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.